Rok I. Lwów, czwartek 2. kwietnia 1908. **Nr. 3.**

2 centy

GONIEC

4 hal.

Wychodzi codziennie o 12. w poł.

REDAKTOROWIE:

Stanisław Tokarski i Stanisław Brandowski.

PRENUMERATA:

We Lwowie:		Na prowincyi:	
miesięcznie	1·— K	miesięczn. z przes. pocztową	1·50 K
„ z odnoszeniem do domu	1·50 „	kwartalnie „ „	4·50 „
Numer pojedynczy . .	4 halerze	Numer pojedynczy . .	6 halerze

Zagranicą, 3 franki miesięcznie z przesyłką pocztową

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za 1-szpaltowy wiersz petitem

Redakcya i Administracya: Lwów, Zimorowicza l. 17. Numer telefonu 740.

Drobne ogłoszenia po 4 hal. od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenie 40 hal.

Czytelnikom naszym

zwracamy jeszcze raz uwagę, że wszelkie przesyłki adresowane „Goniec Polski“ uważać należy za przepadłe, gdyż odbiera je ks. Gorazdowski, a pisma pod tym tytułem wydawać mu nie wolno.

Prosimy zatem, tak listy jak i przekazy pieniężne adresować:

„Goniec“, Lwów, ul. Zimorowicza 17, przyczem zwracamy uwagę, że miesięczna prenumerata „Gońca“ kosztuje wraz z przesyłką pocztową 1 kor. 50 hal., numer pojedynczy na prowincyi 3 ct., we Lwowie zaś 2 ct.

Co dzień niesie?

Ubiegłej niedzieli miałem sposobność przez chwilę obserwować jedno ze zgromadzeń socyalistycznych. Odbywało się ono pod hasłem: precz z burżujami! precz z klechami! precz ze śrubą podatkową!

Nie dziwne mi są takie zgromadzenia. Tyle się im napatrzyłem i miałem sposobność tak dokładnie poznać tych czerwonych hersztów, którzy w organizacyi partyjnej są właśnie najgorszymi burżujami, którzy w tejże organizacyi występują jako nieomylni kapłani, gorsi od ich wizerunku „klechów“, i którzy właśnie śrubę partyjnych podatków wykręcili do niemożliwej wysokości, odzierając robotników z ostatniego grosza, i to nieraz pod tak oszukańczymi pozorami, że najgorszy kacyk i murża nieumieliby zdobyć się na podobny bezwstyd i podobną bezczelność wobec swych poddanych.

Ale wracam do tego zgromadzenia. Śmiech brał pusty, patrząc na obszerną salę i na 17 w niej uczestników. I co to za uczestnicy! Te same twarze, kilkanaście tych samych postaci, które się widzi na każdem zgromadzeniu, w każdej demonstracyi i awanturze. Na trybunie, służącej w nocy dla damskiej kapeli, stał jeden z tych nakręconych na wiecznie tę samą nutę mowców, i urągał całemu porządkowi świata. A kilkunastu manekinów waliło machinalnie w ręce, hańbowało lub automatycznie przytakiwało słowom partyjnego gaduły.

Komu właściwie socyaliści chcą imponować tego rodzaju „wiecami“? Rządowi? Ależ na tem zgromadzeniu musi być obecnym ex offo komisarz policyi, i raporta jego o sile i usposobieniu zgromadzenia brzmią chyba rozpaczliwie kompromitująco dla socyalistycznej partyi.

Opinia publiczna stała się już na te szopkarskie zgromadzenia najzupełniej obojętną. Od biedy interesuje ją jeszcze pochód na 1. maja (w ostatnich latach groteskowy i parodystyczny) albo wybicie szyb „Gońcowi“ przez podpłaconych batiarów. To jest cała żywotność partyi, to są jedyne jeszcze ruchy i kurcze tego nagalwanizowanego blagą trupa.

Więc może dlatego urządza się te wiece, aby mieć o czem pisać w prasie socyalistycznej? aby módz zapewniać, że duch w partyi żyje i rośnie? Ten nakład pracy i pieniędzy — bo przecie batiarów trzeba opłacić, aby się zeszli i hańbowali — nie stoi w żadnym stosunku do efektu, jaki podobne „sprawozdania ze zgromadzeń“ wywołują. Obałamucony dawniej plebs dziś macha pogardliwie ręką na te „imponujące manifestacye robotnicze“. Wie co o nich sądzić. Może się niemi zachwycać paru czerwonych głupców na zapadłej prowincyi, ale z tych ludzi partya ma mało pożytku.

Zostaje więc jeden cel: pokazać centralnej organizacyi, wiedeńskiej czy berlińskiej, jak się to we Lwowie intenzywnie działa, jak się partya w oczach rozwija i rośnie — i na podstawie tej pisanej blagi żądać od nich pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy! Bo te fundusze, na agitacyę wyłudzone, toną przecie w kieszeniach czerwonych hersztów mafii.

Ale poco w takim razie ta kiepska komedya, a te kolosalne o niej recenzye? Można przecie zgromadzenia wcale nie odbyć, a mimo to pisać o nich arabskie bajki. Ogół w te brednie tak czy tak już niewierzy, a tych kilkudziesięciu wierzących baranów na prowincyi niema żadnej kontroli, czy i jak się wiec odbył. Tem mniej mogą tę kontrolę prowadzić wiedeńscy i berlińscy współdziałacze partyjni. Mają i mogą przysłać pieniądze, a głównie pruskie marki, to przyszlą je i bez tych sprawozdań, o których taki berliński morowiec wie chyba dobrze, że składają się na pół z blagi i przesady, a na pół z wierutnego, z palca wyssanego kłamstwa!

Tragedya artysty.



U nas i na świecie.

Dowiadujemy się z niemieckich pism, że

w Galicyi istnieje Związek niemiecki,

który dnia 28. marca br. odbył we Lwowie zgromadzenie. Na zgromadzeniu tem zamianowano członkiem honorowym Towarzystwa prusofilskiego posła do austryackiej Rady państwa

Edwarda von Stranskyego.

Rzecz to bardzo znamienna i niepokojąca zarazem, że tu u nas, za piecem prawie, istnieje znakomicie obmyślana i w skrytości utrzymywana

organizacya pruska,

mająca na celu zapewne szerzenie idei Wilhelma i Bülowa w nawskróś patryotycznem mieście. Do społeczeństwa lwowskiego należy teraz wykrycie i zdemaskowanie ohydnej szajki pruskich ajentów i wykurzenie jej na cztery wiatry. Nie potrzebujemy chyba nadmieniać, że żadne inne społeczeństwo nie ścierpiałoby ani jednego dnia w organizmie zgnilizny pruskiej. Więc i u nas zapewne społeczeństwo wytęży wszystkie siły, aby zarazy pruskiej do siebie nie dopuścić.

Jeszcze nic niebezpiecznego niema. Usiłowania pruskie w tym lub owym punkcie kraju — na razie wydały bardzo marne rezultaty, ale gdybyśmy usiłowania te zlekceważyli, gdybyśmy spuścili bodaj na dzień z oka „krążących jak lwy prusaków, szukających kogo by pożreć“, wówczas byłoby bardzo smutno. Prusacy szukają punktów zaczepienia. Na razie nie wiele ich zdobyli, ale kto wie, co oni knują, jak wielką sumą marek rozporządzają.

Baczność tedy — kto żyw, komu tylko drogą jest ojczyzna!

Dzień dzisiejszy może w dziejach parlamentaryzmu zapisać się bardzo doniosłymi wypadkami. Donosiliśmy już o nieporozumieniu Czechów z rządem

w sprawie językowej.

Czesi naznaczyli na dzień dzisiejszy ostateczny termin do załatwienia swoich żądań.

Jeżeli nie przyjdzie dziś do porozumienia, natenczas nastąpi

przesilenie gabinetowe.

Pogróżki Czechów brzmią bardzo poważnie. Przedewszystkiem prą Czesi do tego, aby obalić cały gabinet br. Becka. Na te pogróżki zapatruje się prasa niemiecka z pewnem zaniepokojeniem i przepowiada, że z powodu zatargu językowego Czechów z Niemcami nietylko możliwe jest rozsypanie się gabinetu bar. Becka, ale może też w dalszej konsekwencyi nastąpić ogólne

przesilenie polityczne.

Czy jednak obawy te są w zupełności uzasadnione, będzie można ocenić z najbliższych telegramów.

W sprawie

sesyi delegacyjnej

krążą rozmaite wersye. Niektóre pisma wiedeńskie twierdzą, że odłożoną ona zostanie do jesieni, niektóre znowu zaprzeczają temu i utrzymują, że sesya tą musi się odbyć w maju.

Gdyby na jesień odroczoną została, musiałby nastąpić nowy wybór delegatów, podczas gdy w maju ci sami obradowaliby członkowie.

Za tem ostatniem przemawia jeszcze i ta okoliczność, że bar. Aehrenthal zobowiązał się pod słowem honoru do zwołania Delegacyi na maj, a niedotrzymanie tej obietnicy wywołałoby niewątpliwie niepożądane komplikacye we wspólnym rządzie.

Jak wiadomo rząd rosyjski skazał na wygnanie na Sybir

byłych posłów socyalistycznych do Dumy.

Znajdują się oni teraz razem z przestępcami kryminalnymi w więzieniu transportowem.

Okoliczność ta wywołała u niektórych frakcyi w Dumie niemiłe uczucie, czy też niezadowolenie, że socyaliści razem ze zbrodniarzami w kryminale siedzą. Wzniosły tedy owe frakcye do Stołypina prośbę, aby copręndzej socyalistów na Sybir wysłał. Ciekawi jesteśmy, co na to powie rząd carski i czy uzna za stosowne oddzielić socyalistów od... zbrodniarzy.

W sferach bankowych w Petersburgu obiega pogłoska, że rząd carski ubiega się o 500 milionów rubli pożyczki we Francyi i Belgii. I znowu ciekawe zapytanie, skąd ten rząd będzie oddawał tyle pożyczek na pokrycie ciągłych deficytów, a względnie w celu zapełnienia kieszeń milionów złodziei, gospodarujących w olbrzymiem państwie, bezprawia i anarchii. Ośm i pół miliarda rubli wynoszą obecnie długi Rosyi.

Znany na całym świecie krzykacz socyalistyczny

Jaures

wystąpił w Izbie deputowanych z bardzo ostrymi atakami przeciw armii francuskiej w Marokku, zarzucając jej czyny barbarzyńskie. Wystąpienie to światowego blagiera wywołało ogromne oburzenie w całej Izbie. Z okazyi tej przypomina się niezbita prawda, że socyaliści, jakiejkolwiek bądź narodowości jeden tylko mają cel przed sobą: obrzucać błotem wszystko, co szlachetne i dobre. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że armia francuska słynie z honoru i męstwa i nigdyby się żadnych nadużyć niedopuściła. Co innego zgangrenowana moralnie armia pruska. Ta w Afryce cudów dokazuje w wynajdywaniu tortur, któremi dręczy plemiona murzyńskie.

Znany Czytelnikom naszym

projekt reform w Macedonii

powzięty przez Rosyę, będzie prawdopodobnie urzeczywistniony i możliwem jest, że nareszcie uspokoi się biedny, wyniszczony przez rzezie i zatargi kraj na Bałkanie, a równocześnie zlezie strup z głowy europejskim mocarstwom.

Sfery urzędowe niemieckie zapatrują się przyjaźnie na plan reform w Macedonii opracowany przez rząd rosyjski. Twierdzą one jednak, że ten plan wymaga rozmaitych zmian tak, że może on uchodzić jedynie tylko za podstawę do nowych propozycyj, które należy obecnie opracować.

Rząd włoski przyjął z wielkiem zadowoleniem do wiadomości propozycye rosyjskie, gdyż odpowiadają one dokładnie poglądowi rządu włoskiego. Rząd włoski nie chce pozwolić na zmonopolizowanie Bałkanu przez jedno państwo, a nadto rząd włoski opiera się na zasadzie koncertu europejskiego, który ma pełne prawo współdziałania na Bałkanie, oprócz tego zaś dąży do rozszerzenia zakresu żandarmeryi zreformowanej w Macedonii i do rozszerzenia zakresu działania komisyi finansowej.

Pismo „Tribuna“ oświadcza, że rząd rosyjski przed ostatecznem opracowaniem obecnego projektu reform porozumiewał się w tej sprawie z Rzymem.

Rząd włoski nie wątpi, że propozycye rosyjskie zostaną przyjęte, gdyż Anglia, celem okazania sympatyi dla Rosyi, cofnęła te ze swoich projektów, które z planem rosyjskim nie pozostawały w zgodzie.

Czerwone rekolekcye.

Nie rzadko spostrzedz można na murach miasta rozlepione czerwone afisze zwołujące na zgromadzenia młodocianych rzemieślników i robotników. Takie dwa zgromadzenia odbyły się znów onegdaj w niedzielę w dwóch „klasztorach“ socyalistycznych we Lwowie, a to, w organizacyach kolejarzy przy ul. Grodeckiej l. 99, i w mieście.

Czas jest przedwielkanocny; więc gdy starsi odwiedzają kościoły, by rozpamiętywaniem męki Pańskiej wzbudzić w sercu skruchę i żal za grzechy, przyrzekając sobie poprawę na przyszłość, — to wtedy młodzież nasza rzemieślnicza i robotnicza, wyrostki kilkunastoletnie, podstawa naszej przyszłości, do narodowej, schodzi się w świątyniach socyalistycznych na c z e r w o n e r e k o l e k c y e.

Myślałby kto, że przynajmniej sami czerwoni proboszczowie zajmują się nauczaniem tych dzieci? Nie, bo oni muszą się rezerwować, na występy bardziej uroczyste i odświętne. Do takiej plugawej roboty, jak deprawowanie niewinnych umysłów i dusz młodzieńczych wystarczają im proste chłopy i zwykli szynkowni naganiacze partyjni.

I ładne mają rekolekcye biedne dzieci, z których wyrośnie kiedyś nie pociecha i podpora starości rodziców i chwała społeczeństwa, ale bandyci. Krzewiciele nauki socyalistycznej krzywią te młode latorośle, naginając je do swych wstrętnych celów partyjnych, budząc w nich dzikie, nizkie instynkty zwierzęcia, wyrywając z ich duszyczek młodych wszystkie ziarnka zdrowe, rozsiane przez kochające matki, zacnych ojców, Kościół i szkołę a siejąc nienawiść.

To się u nas dzieje niemal codziennie. Popełnia się j a w n i e w dzień b i a ł y z b r o d n i ę g w a ł t u dusz dziecięcych i ogłasza się godzinę zbrodni plakatami na murach miasta. A społeczeństwo milczy.

Czyż niema władzy, któraby w tę rzecz wglądnęła i zbrodniarzy ukarała; czyż nasze społeczeństwo tak zmartwiałe, że się nie oburzy i nie wymierzy sprawiedliwości obrażonemu poczuciu elementarnej etyki?

Zaprawdę czasby już było niecnemu rzemiosłu tych grasantów, zwacych się szumnie partyą socyalno-demokratyczną tamę położyć. Wszak ich cała egzystencya u nas polega tylko na bladze i hucznym hałasie, jaki za-

3

H. SMYTH.

STRASZNA GOSPODA

Powieść z angielskiego.

— Tak, tak, pamiętam! — odparł baronet niechętnie — atoli nie mogę teraz pozostać dłużej... zauważono by nieobecność moją... Oto masz pan tymczasowo 500 funtów i poczyń bezzwłocznie pierwsze kroki...

Adwokat schował niedbale pieniądze i rzekł:

— Jedną rzecz zapomniałeś pan omówić ze mną. A chłopiec... cóż z nim będzie?

— Zostanie przy mnie.

— Jako syn pański?

— Nie, jako mój pupil.

— Lecz, czyż on pana nie zna? Czy obejście jego z panem nie zdradzi pokrewieństwa?

— Nie, bo zanim go zobaczy lady Bella, oddam go do konwiktu i nie prędzej wezmę napowrót do domu, aż mię zupełnie zapomni.

— A jeźli umrze, cóż potem?

— Ten wypadek może być w testamencie uwzględniony, i zastrzeżonym stosownie. Najpierwszą rzeczą na teraz jest przywołanie lekarzy... Dobra noc.

— Dobra noc, sir Feliksie!

Podali sobie ręce, poczem baronet wychylił szklankę gorącego koniaku z wodą i wybiegł szybko z pokoju.

Dove patrzył nieruchomie za nim, aż drzwi się zamknęły, potem przystąpił do okna i wyjrzał na drogę.

— Oto on... — mruczał widząc, jak sir Feliks wskoczył na konia i pokłusował gościńcem ku drewnianemu mostowi, który chwiejąc się ze starości spróchniałemi belkami, łączył brzegi szerokiej i rwącej rzeki; — jak szalony pędzi w przepaść... a choć łotr z niego skończony, nie życzę mu jednak śmierci. Musi żyć...ażeby przeszłość na wieki pogrzebioną była...

Gdy blade płomienie księżyca spłynęły na wychudłą i pożółkłą twarz adwokata i głowę przyprószoną już siwizną, oświetliły rysy, na których spoczywał wyraz zadowolenia głębokiego, będącego w dziwnej sprzeczności z naturą i usposobieniem człowieka, który całą duszą pragnie okrutnej zemsty... Mr. Dove nie miał wcale zamiaru nocować w gospodzie pod „Wypoczynkiem woźnicy“, i spożywszy wieczerzę zadzwonił, kazał osiodłać konia i zszedł na dół, by zapłacić za jadło i pokój.

W gościnnej izbie siedziała sama gospodyni.

— Gdzie Mark? spytał Dove.

— W łóżku — odparła gospodyni, spuszczając wzrok na robótkę, jak gdyby chciała ukryć wyraz twarzy.

Adwokat był nadto zajęty własnemi myślami, i nie zauważył zmiany w obliczu gospodyni, w przeciwnym bowiem razie z rumieńca pokrywającego nagle piękną twarz Latty Dawilsh, byłby łatwo odgadnął, że bądź nie mówiła prawdy, bądź coś zamilczała.

— Tak, tak, on zwykł kłaść się i wstawać z kurami! — bąknął adwokat obojętnie, zapłacił należytość, pożegnał przyjacielsko gospodynię, potem wsiadł na konia, i szybkim kłusem ruszył również w kierunku drewnianego mostu.

Gdy sir Feliks powracając z gospody minął most, skręcił na prawo i podążył do Chauntry House, przeciwnie Laurence Dove zwrócił się na lewo a przebywszy lesistą drogę, jechał krańcem obszernych pól torfowych, ziejących bezustannie ogniem i dymem.

Właśnie gdy stanął w blasku ognia płonącego w pierwszym piecu, wystąpił jakiś człowiek z poza olbrzymiego komina i wskazał dwom osobom czatującym na ziemi, postać adwokata przejeżdżającego koło nich szybko.

— Tamtego widzieliście już... Zapamiętajcie sobie także i tego, gdyż z nich obydwu jest on większym łotrem...

Głos ten pochodził z ust Marks Dawlish'a, właściciela gospody pod „Wypoczynkiem woźnicy“.

II.

Lekarze Zakładu obłąkanych.

Lady Ellena Chauntry siedziała w swoim buduarze. Pełne sploty złotoblond włosów spadały na jej piękne alabastrowe ramiona, a śliczne błękitne oczy, biegły od czasu do czasu z wyrazem czułości macierzyńskiej na dziecię igrające u jej stóp na dywanie. Z pierwszego zaraz wejrzenia poznać można, że wcale inną była istotą, jak to wywnioskować można było ze słów jej małżonka.

Pieszczona przez matkę i siostrę, dzieckiem prawie weszła w dom swego męża i pełna przywiązania i uczucia szczerej dla niego, nigdy nie była zdolną choćby myślą tylko posądzić go o niewdzięczność lub zdradę. Bez najmniejszego podejrzenia lub niechęci, zgodziła się na dziwną propozycyę męża, by jakiś czas żyli pod przybranem nazwiskiem Chauntry. Czy nazywana lady Chauntry, czy lady Harcourt, było jej rzeczą zupełnie obojętną, byle ją tylko kochał mąż, dziecię zdrowe było, a dom byle był siedliskiem swobody i wesela, bo te warunki sądziła za niezbędne dla swego życia.

Sir Feliks tak dobrze odgrywał zawsze rolę czułego i kochającego męża, że gdy raz ją namawiał, by zrobiła testament, opierała się jedynie z tego powodu, iż jak mówiła żartem, zdawało się jej, jakoby podpisać miała na siebie wyrok śmierci.

Gdy nazajutrz po bytności w gospodzie pod „Wypoczynkiem woźnicy“ zawiadomił ją, że przybędą dwaj lekarze z Wolverhampton, uważała to za świeży dowód jego dobroci i troskliwości o jej rzeczywiście nadwątlone zdrowie.

Lekarze Surtres i Pentron nie molestowali jej bynajmniej licznemi pytaniami i nużącą konsultacyą. W obejściu swem byli bardzo łagodni i uprzejmi, i rozprawiali więcej o pogodzie, aniżeli o zdrowiu pacyentki; doradzali tylko zmianę miejsca pobytu i klimatu, opukiwali główkę małego Harry i mówili, że śliczny z niego chłopczyk i wielka szkoda że...

Dalej nie słyszała, bo dokończyli szeptem.

Ale lady Ellena nie zważała nato wcale, jak nie zważała na znaki, które ci panowie zamieniali między sobą oczyma. Myślała po prostu, że to zwykłą własnością specyalną, tak głęboko uczonych ludzi, a gdy oddalili się, obiecując niebawem zaradzić stanowczo jej zdrowiu, cieszyła się w duchu ze znajomości tak miłych i sławnych ludzi. Wkrótce zapomniała o nich zupełnie...

(C. d. n.).

wsze pusta beczka sprawia. Ci Donkiszoci galicyjskiej S. D., wyczerpawszy już ze swej spiżarni wszystkie łakocie niemieckiego pochodzenia, na które się żaden dojrzały i uświadomiony robotnik polski więcej wziąć nie da, z rozpaczą bankrutów wpadają na iście piekielny pomysł, bałamucenia, uwodzenia i demoralizowania dzieci.

Lecz wara wam do dzieci naszych! Cierpliwe dotąd społeczeństwo, gdy się raz otrząśnie z apatyi, da wam taką odprawę, na jaką bandytyzm zasługuje.

A już są znaki na niebie i ziemi, że chwila ta nie jest daleką. Na różnych zebraniach czem raz głośniej poczynają protestować rodzice przeciw opiece socyalistycznej. I tak n. p. na zebraniu wydziału „Samopomocy kolejarzy lwowskich“ przed kilkoma dniami podniesiono myśl zaapelowania do wszystkich rodziców, zwłaszcza z warstw robotniczych, aby urządzić zgromadzenia rodziców wszystkich stanów, któreby protestując przeciw demoralizacyi młodzieży niedojrzałej na zgromadzeniach socyalistycznych, obmyśliło środki przeciwdziałania.

A także może pod naciskiem opinił publicznej władze powołane do czuwania nad moralnością publiczną obudzą się wreszcie ze swej dotychczasowej bezczynności. Może ta władza, która tak bywa zazwyczaj czułą na etykę polityczną, gdy chodzi o zwalczanie i duszenie niesympatycznych sobie stronnictw i osób publicznie działających, zechce wyjść z poza zapleśniałych paragrafów i szimlowych kawałków na szerszą arenę życia, by zrozumieć, że gmach władzy się wali, gdy jej opieka okaże się nieudolną i bezwładną tam, gdzie chodzi o najświętszy skarb przyszłości kraju i państwa, o młodzież nieletnią.

A zdaje się, że władze we własnym zakresie bardzo wiele mogłyby w tej sprawie zdziałać. Czyżby n. p. władza kolejowa nie mogła pod grozą wydalenia ze służby, zakazać młodocianym rzemieślnikom swoim brania udziału w publicznych zgromadzeniach socyalistycznych? Matki i ojcowie tej młodzieży z pewnością byliby wdzięczni za takie zarządzenia.

Oby ten apel nie był daremnym! Oby jak najrychlej znaleźli się rodzice, którzyby w publicznym proteście wyrazili potępienie czerwonym bandytom i skutecznie zaczęli zwalczać demoralizacyę, wśród młodzieży przez nich szerzoną.

PRAWDZIC,

Niedobrane małżeństwo.

(Humoreska.)

Moje pożycie w małżeństwie z Mbribri (po naszemu Kostusia) nie obfitowało w zbyt wiele epizodów jaśniejszych. Powiem nawet, iż było ono piekłem, co do mnie zaś, że równałem się potępieńcowi, któremu szatani w przestankach co kwadrans, zwyczajnemi obcęgami kowalskiemi i bez użycia gazu rozweselającego wyrywają wszystkie zdrowe i mocno zakorzenione zęby.

Powodem moich niepowodzeń matrymonialnych było, jak przypuszczam, niezupełne dobranie się naszych charakterów i upodobań.

Jestem Lapończykiem, urodzonym jeszcze o setki mil za Bergen i Hammerfestem, w miejscowości, położonej ledwie o kilkanaście kroków od panewki, w której z niezmiernym rozpędem obraca się oś bieguna północnego. Mogłem był wziąć dziewczę z mego plemienia, córkę bogacza, który dawał jej w wianie 60 reniferów, 4600 skór z fok (prawdziwych, nie sztucznych, jakie sprzedają w niektórych sklepach lwowskich) i wreszcie na pierwsze zagospodarowanie się 8 funtów smacznych i pożywnych świec łojowych.

Mogłem był, powtarzam, lecz licho mnie skusiło i sięgnąłem po rękę Mbribri, córki myśliwego na zebry i tygrysy w najpołudniowszych okolicach Afryki.

Już kilka dni po ślubie, a było to pod koniec listopada, szanowna gawiedź łyczakowska gwizdała przeraźliwie z powodu ukazania się na ulicy mężczyzny zupełnie obnażonego i z wachlarzem w ręku, oraz czarnej damy odzianej w wielkie futro z białych niedźwiedzi (moja pamiątka rodzinna).

Pochodząc z rozmaitych a wręcz krańcowych punktów kuli ziemskiej, rozmaicie też odczuwaliśmy temperaturę: to co ja poczytywałem za upał podzwrotnikowy, moja żona nazywała mrozem trzaskającym — lub przeciwnie.

Podczas ubiegłych zabiegów wolnościowych różnica naszych ras, oraz stopnia czułości wrażeń, zaznaczyły się może jeszcze jaskrawiej. Ja, będąc człowiekiem, wychowanym w temperaturze poniżej 50^0 Reaumura, topniałem literalnie na bruku tutejszym i domagałem się obmyślenia i utworzenia partyi, która zaćmiłaby najczerwieńsze obozy i frakcye. W tymże czasie Mbribri wciąż kostniała z chłodu pod niebem miejscowem i wotowała za pomnożeniem kadrów służby porządku i bezpieczeństwa.

Najcharakterystyczniejszem było nasze zajście na Nowym Świecie w Warszawie, dokąd pojechaliśmy w spóźnioną nieco podróż poślubną.

Odbywała się próba najświeższego dla Warszawy wynalazku z dziedziny czwartego wymiaru, mianowicie tramwaju elektrycznego.

Za granicą, gdzie ludziom bywa bardziej pilno, niż tubylcom-Warszawianom, pierwsza geś została potrąconą elektrowozem w roku 1890. W Warszawie dopiero dnia 18. marca r. b. przed wieczorem dorożkarz Kozubek stanął ze swoim powozem wpoprzek szyn kolei elektrycznej i nie tylko nie zdołał „pokazać, co to on może“, ale nadto, zrzucony impetem piekielnego wynalazku, otrzymał ranę dziesięciocentymetrową, uczciwej miary.

Ja będąc, jak to mówią skąpanym w gorącej wodzie, domagałem się, ażeby nazwisko dorożkarza Kozubka zostało wciągnięte do złotej księgi męczenników naszej swojskiej kultury.

— Bo gdyby nie najświeższy wynalazek, — twierdziłem z płomieniem w oczach, — Kozubek nie byłby utracił dziesięciu centymetrów czaszki, nie licząc zębów.

Moja Mbribri wygłaszała zdania wręcz przeciwne.

— Godnem jest pożałowania społeczeństwo, — mówiła narzeczem Angoli, — którego dorożkarze, uzbrojeni w nadłamany bicz, starają się wykoleić elektrowóz wagi, lekko licząc, 3500 pudów. Podobne społeczeństwo, powiadam, nie rychło dosięgnie powagi obywateli miasta Bimbelsthor w Turyngii, liczącego 3000 mieszkańców, a posiadającego elektrowozy od lat dwudziestu.

Ja oczywiście powiedziałem, iż jest głupia — i bezpośrednio po tem nastąpiła bójka małżeńska.

W rezultacie jeden ze świadków szepnął coś na ucho członkowi straży, który przy blasku światła elektrycznego sprawdził moje legitymacye.

Na domiar mego poniżenia, krytycy w sprawozdaniach, ogłoszonych nazajutrz po wypadku, wszyscy jak jeden mąż, stanęli po stronie Mbribri, która zwierzyła się przedemną, iż nie chce mieć nadal do czynienia z ludźmi, jak ja, wyzutymi z inteligencyi i wstydu.

To już do reszty stargało węzły naszej jedności i zgody małżeńskiej. Ja dumnie odszedłem do mojej lodowni, ona zamknęła się w piecu piekarskim, ogrzanym do temperatury 80^0 R. i dziś już nas nic nie łączy.

Pewien filozof namawia mnie, ażebym się tem nie martwił, ponieważ w Warszawie zdarzają się rozwody nawet pomiędzy małżonkami, urodzonymi pod jednym i tym samym stopniem geograficznym.

Z blizka i z daleka.

(Fotografowanie głosu. — Protektorka zwierząt. — Walka bandytów z wojskiem. — Woda na Marsie).

Bardzo interesujący nowy aparat wynalazł uczony paryski M. d'Arsonval i przedłożył go Akademi umiejętności.

Rozchodzi się w nim o fotografię fal głosowych, wychodzących z ust człowieka i ich przeniesienie w formie rysunku.

Zdjęcia brzmień głosowych można uskutecznić do długości 20 metrów, a wychodzą one dość jasno i wyraźnie, tak, iż doskonale z nich można dostać wiadomość o stanie i wysokości głosu danej osoby, oraz o błędach i mankamentach głosowych. Wynalazek ten, jeżeli doświadczenia z nim będą pomyślne w rezultacie, stanowić będzie wielką pomoc dla nauczycieli śpiewu i mowy.

W Broklinie, przedmieściu Nowego Jorku zmarła stara panna Joanna Stelter w wieku 80 lat.

Od czterech lat nie wpuszczała nikogo obcego do swego mieszkania. Znaleziono ją bez życia, rozciągniętą na podłodze; u wezgłowia jej papugę, w nogach koguta.

Krewnym swym zapisała zmarła w testamencie 8000 dolarów, jako dożywocie, zaś dla ulubionych jej ptaków 1500 dolarów rocznie celem ich pielęgnowania i żywienia.

*

W Dąbrowie w Królestwie Polskiem onegdaj wieczorem ośmiu zamaskowanych i uzbrojonych w rewolwery bandytów wpadło do mieszkania L. Erlicha i zabrało mu 30 rubli, zdjęło z nóg buty i czapkę, córce zaś jego zdjęli kólczyki i pierścionki i wyszli. Później udali się do mieszkania handlarza węglem Żuchowskiego i przyłożyli mu rewolwery do głowy. Widząc to, żona podniosła alarm. Bandyci pobili ją lufami rewolwerów, raniąc dotkliwie, zrabowali następnie 200 rubli i wyszli. Zawiadomiony o powyższem zajściu strażnik zabrał z sobą 4 żołnierzy i udał się w pościg za bandytami. O godz. 12. w nocy spostrzegł on w domu na cegielni Mędrzyka światło i usłyszał gwar, a podszedłszy bliżej, ujrzał tam bandytów. Dom otoczono żołnierzami. Wówczas bandyci weszli na korytarz 2 piętra i poczęli strzelać; żołnierze również odpowiedzieli strzałami. — Strzelanina trwała pół godziny. Na jej odgłos zbiegło się więcej żołnierzy. Bandytom wkrótce zabrakło nabojów, poczęli więc zeskakiwać z 2-go piętra na podwórze. Jeden z nich złamał nogę, dwóch zaś zostało rannych w nogę i w głowę kulami. Ostatecznie z 8 ujęto 7 bandytów, jeden zaś zdołał zbiedz. W mieszkaniu znaleziono maski, rewolwery, skradzione pieniądze i inne przedmioty. Aresztowanych bandytów odprowadzono pod silną eskortą do aresztu dąbrowskiego. Dom strasznie podziurawiony kulami.

*

Paryska Akademia umiejętności otrzymała zawiadomienie, że amerykańskiemu astronomowi Lowelowi udało się stwierdzić zapomocą analizy spektralnej istnienie w atmosferze Marsa pary wodnej, co dotychczas było tylko przypuszczeniem. Odkrycie to popierające hipotezę o możliwości istnienia na Marsie istot ludzkich i wogóle życia zwierzęcego da zapewne impuls do nowych badań nad tym interesującym planetą.

Tragedya artysty.

(Do ryciny na 1 str.).

Obdarzony najbujniejszą fantazyą romansopisarz niepotrafiłby wymyśleć równie tragicznego przypadku, jaki dotknął w Medyolanie znanego i cenionego we Włoszech rzeźbiarza, Antoniego Tirteo. Przypadek ten nietylko, że samemu artyście złamał życie, ale w dodatku zniszczył jego największe dzieło, jakie stworzył.

Tirteo wykończył właśnie nadnaturalnej wielkości posąg rzymskiego bestyaryusza (pogromcy zwierząt). Był on wykuty w marmurze, i należało jeszcze tylko wygładzić nieco chropowatą zewnętrzną powierzchnię ramienia posągu. Aby to wygładzenie przedsięwziąć, Tirteo podsunął do posągu skrzynię, i dla lepszego utrzymania równowagi prawą rękę przesunął przez wązki otwór posągu, jaki powstał wskutek tego, że bestyaryusz ramię miał wygięte ku szyi, której ręką dotykał. Otwór ten był tak ciasny, że Tirteo z trudnością tylko swą rękę tam przecisnął i rozpoczął gładzić marmur.

W tej chwili stała się rzecz fatalna. Do pracowni weszła markiza Ferrari, aby oglądnąć dzieło mistrza. Tirteo na jej widok szarpnął rękę, aby ją wydobyć z uwięzi, ale to mu się nieudało, natomiast skrzynia, na której stał, straciła równowagę i usunęła mu się z pod nóg. Tirteo wskutek tego zawisł w powietrzu na uwięzionej ręce, która się pod jego ciężarem w dwóch miejscach złamała.

Wisząc tak na złamanej ręce, był w niebezpieczeństwie, że mu się cała ręka w złamanem miejscu urwie. Na szczęście skoczyło mu na pomoc dwóch obecnych w przyległej sali uczni i ci pochwyciwszy swego mistrza trzymali go w górze, podczas gdy markiza starała się wyjąć mu z fatalnego otworu złamaną rękę. Gdy to się niedało zrobić, zbiegła do swego stojącego przed pracownią automobilu i sprowadziła lekarzy pogotowia ratunkowego. Ale i ci niemogli na tę straszną sytuacyę poradzić, bo Tirteo z biedą tylko przepchał przez otwór zdrową rękę, tem mniej więc można było wyciągnąć złamaną i już dobrze spuchniętą.

Wtedy oświadczyli lekarze, że są dwa wyjścia tylko: albo nieszczęśliwemu mistrzowi natychmiast rękę amputować u ramienia, albo też rozbić ramię posągu i w ten sposób oswobodzić artystę. Rozumie się, że wybrano to ostatnie. Uczniowie jego pochwycili natychmiast za dłuta i młotki, i w parę minut później odłączyli rękę od kadłuba posągu.

Tirteo znajduje się obecnie w sanatoryum, gdzie mu rękę wprawdzie złożono, ale złamanie jej jest tak skomplikowane, że lekarze wykluczają nadzieję, aby mógł nią kiedykolwiek w życiu władać.

W ten sposób jeden z pierwszych mistrzów włoskich w jednej chwili stracił największe dzieło swego artyzmu, i rękę, która to dzieło stworzyła.

Na alarm!

Uderzyliśmy wczoraj na alarm z powodu roboty hakatystycznej tu, pośród nas, w najbliższem otoczeniu naszych ognisk domowych i naszych rodzin.

Wołanie nasze na alarm było zupełnie uzasadnione; robota jest, wzmaga się dnia każdego, idzie jednak krytym sztychem, bo jak każda praca rozkładcza lęka się dnia, boi się słońca i jego światła.

Oto donoszą nam, że w odległości zaledwie kilku mil od Krakowa, od tego serca całej Polski, odbywa się planowy podbój przez Niemców polskiej własności ziemskiej, który to podbój osiągnął już wprost zastraszające rozmiary.

„Tygodnik chrzanowski“, wychodzący w Chrzanowie od kilkunastu tygodni, zebrał cyfry w tym względzie bardzo dokładne i bardzo pouczające. Według dat, podanych przez „Tygodnik chrzanowski“, powiat chrzanowski liczy 72.114 hektarów ziemi, z czego w rękach niemieckich znajduje się co prawda jeszcze nie wiele, bo 9.283 ha, czyli więcej niż jedna ósma część. Lasów liczy ten powiat 25.574 ha, a z tego już bardzo znaczny obszar, bo 7.946 ha, czyli trzecia część znaj-

duje się w rękach niemieckich właścicieli.

O wiele gorzej przedstawia się stan posiadania polski w górnictwie i przemyśle. Na ogólną ilość 28 istniejących zakładów przemysłowych i fabrycznych, Niemcy posiadają 8 największych fabryk. Każda taka fabryka jest — pomijając już straty ekonomiczne — pozycyą dla nas na zawsze straconą i warownią posuwającego się stale germanizmu. Smutne! O! i bardzo nawet smutne, przedewszystkiem zaś dlatego, że winę tego wszystkiego tylko sami sobie przypisać musimy.

Nasza to bierność i apatya — nasze lekceważenie jutra — i to stare nieszczęście: „jakoś to będzie! — albo pan Bóg łaskaw, nie zapomni o nas“, doprowadziło do niejednych już strat, na których wspomnienie — przerażenie nas ogarnia.

To lekceważenie życia i przyszłości doprowadziło przecież do zguby Rzeczpospolitej polskiej, włożyło nam kajdany na nogi; lekkomyślność osławiona nasza pozwala znów dzisiaj wżerać się wrogowi w najbliższe nasze otoczenie i rabować resztki dobytku jaki zachowaliśmy i utrwalili w tej części naszej Polski.

Więc jeszcze raz uderzamy na alarm!

Ocknijmy się i ręce do roboty! Wymieść plugastwo za drzwi i urwać łeb hydrze krzyżackiej — co wytrzeszczyła krwawe ślepia na zagony nasze.

Po palcach trzasnąć, każdą rękę zaborczą!

Ale zbudźmy się raz na seryo — ocknijmy całkowicie — bo inaczej to, co dzisiaj jest smutnem, wkrótce będzie przerażającem i straconem na zawsze.

Dziwnie się plecie na Bożym świecie.

Hr. Leon Łoś, lwowianin, płynąc zeszłego roku parowcem z Ostendy do Londynu, na pełnem morzu wrzucił do wody dobrze zakorkowaną butelkę, w której umieścił swoją kartę wizytową z podaniem swego adresu we Lwowie, i prośbą, aby znalazca tej butelki z kartą doniósł mu, gdzie ją znalazł. Karta miała tekst niemiecki i francuski.

Powróciwszy do Lwowa, hr. Łoś zapomniał zupełnie o rzuconej na pastwę fal butelce, gdy wczoraj otrzymał niespodzianie niemiecką kartę korespondencyjną tej treści:

JWny Panie Hrabio!

Z prawdziwem zadowoleniem donoszę JWPanu, że butelkę z Pańską kartą znalazłem w Vaalde, w pobliżu Serro (Saro), trzy mile od morskiego brzegu a na południe od Gothenburga w Szwecyi. Treść Pańskiej karty brzmi: Płynąłem 27. września 1907 z Ostendy do Dover itd. Jeśliby JWPan życzył sobie otrzymać swą kartę z powrotem, to proszę mi napisać, a natychmiast ją prześlę pod Pańskim adresem.

Z wysokiem poważaniem
P. M. Petersen
Norbyvalde-Szwecya.

Jest to bardzo rzadki wypadek, aby rzucona w ten sposób w morze butelka dostała się w ręce ludzkie i pierwotny jej właściciel otrzymał o niej znów wiadomość. W tym razie jest to o tyle ciekawsze, że butelka ta opłynęła skaliste brzegi Wielkiej Brytanii i złowioną została u jeszcze bardziej skalistych brzegów Szwecyi, o które tak łatwo rozbić się mogła, a nadto przetrwała na morzu zimę i ominęła szczęśliwie kry lodowe, które jej też zgubę przynieść mogły.

Podróżni, płynący okrętami, zawsze prawie robią podobne eksperymenta, ale na kilkanaście tysięcy takich butelek jedna zaledwie zostaje przypadkowo wyłowioną, a o reszcie słuch zaginie. To też przypadek hr. Łosia można uważać za jakiś „Haupttreffer“, który w świecie marynarskim uważanym bywa za niezwykłe szczęście i sensacyę.

Wypadkiem tego rodzaju „sławę“ zdobył sobie pewien kupiec portugalski, który butelkę ze swoją kartą rzucił do morza koło wysp antylskich, a znalezioną ona została w dwa lata później w brzuchu rekina, którego złowiono i zabito w zatoce perskiej.

Z Wiednia.

Z komisyi budżetowej.

Obradowano na niej w dalszym ciągu nad etatem ministerstwa sprawiedliwości.

Posłowie czescy: Masztalka i Klofacz żądali energicznie, aby rząd dopilnował, iżby ustało systematyczne naruszanie prawa narodu czeskiego przez sądy niemieckie, zapewniając, iż cały naród czeski wszystkiemi siłami dążyć i walczyć będzie nad osiągnięciem językowego równouprawnienia. Obowiązkiem ministra sprawiedliwości jest, by zrobił użytek ze swego prawa nadzorczego i rozkazał, aby sądy przyjmowały podania czeskie.

P. Romańczuk zapytywał jak stoi sprawa z wydaniem nowej ustawy karnej; następnie zaś przeszedł do krytykowania działalności sądów w Galicyi wschodniej. Mówił o rzekomym nacisku politycznej administracyi na sądownictwo galicyjskie. Skarżył się, że rozpoczęto cały szereg procesów skierowanych tendencyjnie przeciw Rusinom z powodu wyborów do Rady państwa, a gdy z tego powodu interpelowano rząd, interpelacya ta pozostała bez odpowiedzi. Ubolewając nad nieuwzględnieniem języka ruskiego w sądownictwie, umotywował to brakiem znajomości języka ruskiego wśród personalu urzędniczego tak wyższej jak i niższej kategoryi.

Z kolei zabrał głos poseł Wassilko przemawiając za słusznością żądań Związku sędziów austryackich w sprawie ustalenia ich niezawisłości, zniesienia tajnej kwalifikacyi, dalej w sprawie podziału obsadzania posad sędziowskich podług czasu i uregulowania stosunków awansu i płac podług Saksonii i Prus. Podniósł dalej poseł konieczność reformy ustawy karnej, policyjno-karnej i rewizyę kodeksu cywilnego, na polach prawa małżeńskiego, spadkowego, familijnego, o księgach gruntowych i i.

Z muzyki.

Galicyjskiemu Towarzystwu muzycznemu należy się uznanie za urządzenie przepięknego koncertu kompozytorskiego p. Ludomira Różyckiego, który odbył się w ub. niedzielę dając możność bliższego zapoznania się z twórczością jednego z najmłodszych kompozytorów polskich, o twórczości już dziś nader bogatej stosunkowo do wieku kompozytora. To co nam dał Różycki w swym koncercie, z pewnością nie jest jeszcze ostatnim wyrazem jego talentu a niedaleka przyszłość pozwoli p. Różyckiemu zająć w pośród talentów twórczych polskich, miejsce jedno z naczelnych.

Na program koncertu złożyły się kompozycye fortepianowe, wokalne i orkiestralne. Pierwsze wnoszą do literatury muzycznej kilka kompozycyi, tchnących świeżością i oryginalnością, jak „Legenda“ i „Stanął nad morzem“. Cała jednak siła p. Różyckiego leży w orkiestrze, jej polifonii i przepysznej szacie instrumentalnej. Tu jest on mistrzem, w poematach symfonicznych „Twardowski“ i „Bolesław Śmiały“ i w symfonicznem scherzo „Stańczyk“. We wszystskiem pyszny koloryt orkiestralny, oryginalne temata, ciekawe rytmy, duży rozmach.

P. Różycki jest kompozytorem zupełnie nowoczesnym, hołduje R. Straussowi i jego muzyce programowej, to też wpływ tej muzyki, przebija się silnie w jego kompozycyach. Utwory fortepianowe i akompaniament do pieśni śpiewanych przez p. Różycką wykonał kompozytor sam, wykazując wszechstronność.

Publiczność przyjmowała Różyckiego owacyjnie. (s. m.).

Kobiety nie dają spokoju!

W Peszcie wydarzył się znamienny bardzo wypadek, któremu nie towarzyszyły zwykłe demonstracye krajowe, ani ataki żandarmeryi. Wielka oto deputacya zwolenniczek prawa kobiecego głosowania podążyła do gniazda, z którego niebawem wyłoni się polityczny noworodek w postaci nowego prawa wyborczego dla Węgier. Gniazdem owem to parlament. Deputacya postanowiła tam zażądać od „światłych mężów“, którzy tym narodzinom urzędowo asystować będą, aby uwzględniono słuszne prawa kobiece, na mocy których kobieta będzie mogła czynny brać udział w życiu prawodawczem.

Pierwszy podobny wysiłek uczyniły tamtejsze emancypantki przed czterema laty. Ówcześni przewódcy koalicyi, znalazłszy się w tak fatalnem położeniu, nie odważyli się na danie bezwzględnej odmowy. Zastanawiano się nawet nad stopniem majątkowym lub stopniem inteligencyi, które to okoliczności przyczynićby się mogły do uchwalenia kobiecego prawa wyborczego.

Obecnie po raz wtóry kobiety węgierskie stanęły w podwojach parlamentu. A ton, w jakim wypowiedziały żądanie w sprawie czynnego i biernego prawa wyborczego, był nieco energiczny. Zaraz też stwierdzono, że i tym razem kobiece kroki, uczynione w interesie ich prawa wyborczego, pozostaną bez skutku.

Marszałek izby poselskiej, Juliusz Justh, wyliczywszy nasamprzód z wielką czcią i poważaniem wszystkie niewieście przymioty, a mianowicie ich inteligencyę, miłość ojczyzny, oświadczył, że chciałby chętnie zaspokoić polityczne popędy kobiece. A minister spraw wewnętrznych, hrabia Juliusz Andrassy zapewniał, iż nie może się na coś podobnego zgodzić, albowiem na słabe barki kobiece pod żadnym warunkiem nie można wkładać tak wielkich ciężarów życia publicznego. Kobiety przecież do dźwigania podobnych ciężarów nie są wcale przygotowane. Prezes gabinetu, dr. Wekerle stanowczo zapowiedział, że nie chce wcale o tem mówić. Zapowiedzią tą dał zarazem do poznania, że wyczekującej w gmachu parlamentarnym deputacyi feministycznej, złożonej z trzydziestu białogłów węgierskich, nie przyjmuje wcale.

Po doznaniu takiego rozczarowania, panie węgierskie nie były, ma się rozumieć, wielce zbudowane wynikiem swojej misyi. Na przyszłem posiedzeniu feministek zapadnie też zapewne ostre zasądzenie zacofanych barbarzyńców. Już teraz dość ostre padały wyrażenia pod adresem bezwzględnych przeciwników obarczania wątłych ramion niewieścich ciężarami publicznymi.

— Dlaczego to — pytały jedne — mężczyźni więcej posiadać mają zdolności i siły do ponoszenia ciężarów politycznych, niż kobiety?

— Zamiast zimnych paragrafów prawa — wołały inne — złożono gorące pocałunki na nasze ręce.

A tylko niektórzy posłowie obecni przyjęciu kobiecej deputacyi, będąc zapewne spowodowani domowemi doświadczeniami, odważyli się na kilka urywanych wykrzyknikow:

— Kobietom nie można przyznać prawa wyborczego, gdyż w takim razie moją żonę wybrać mogą posłem; ja zaś nieborak, zostać będę musiał w domu, aby dzieci pilnować.

Inny poseł, podobno jakiś bohater pantoflowy, kruszył znów kopie za prawem kobiecego głosowania:

— Kobietom winno się koniecznie przyznać pod tym względem równouprawnienie, gdyż wtedy będę mógł i ja korzystać może z praw mężczyzny...

Mimo tak niesłychanej klęski, ponieslonej we walce o prawa wyborcze, węgierskie emancypantki bynajmniej nie straciły otuchy, lecz w dalszym ciągu zaciętą prowadzić będą walkę, celem zatarcia — różnic, dzielących kobietę od mężczyzny.

Pobożny Antoś.

Idzie placem Akademickim baba i trzyma może dziesięcioletniego wyrostka za rękę. A potem przystaje i mówi:

— Antek, pomódl się przed świętym Janem, aby Bozia dała pogodę, a potem siednij sy na ławce naprzeciw aptyki i zaczkaj, aż ja ni wróce.

Chłopak cmoknął matkę w rękę, klęknął pod figurą u wejścia Ścieżkowej ulicy, machnął parę krzyżów świętych i pogwizdując zbliżył się do ławki.

— Chodźno tu, Antoś — mówię do niego serdecznie — tak ci tęskno do wiosny, że o pogodę się modlisz?

I trochę wzruszony tym idealizmem biedaka, wyjmuję szóstkę, po którą też chłopak zaraz skwapliwie rękę wyciągnął.

— Powoli, bratku. Szóstka twoja ale pierwej mów, dlaczego ci tak do pogody tęskno? Lubisz pewnie, gdy drzewa są zielone, ptaki śpiewają, słońce grzeje, co?

— Drzewa zilone, to ni — odparł chłopak z rozwagą — ino kwiatki bedom sadzić po ogrodach i cybulki, to można ukraść i sprzedać.

— Aha, więc ty ino prosiłeś Pana Boga, aby ci poszedł troche na rękę?

— Matka kazała, ta co ja nimiał prosić? A także ludzie wiszają na gankach różne letnie rzeczy, to idę na podwórze i ściągnę co i do domu wytyke dam... Ali ładnie musi być, bo ludzi ino na słońce różne kawałki wynoszą.

Schowałem znów szóstkę do kieszeni ku niezmiernej żałości chłopca, który niemógł zrozumieć mego postępowania.

— Poczkaj, Antoś, ja tu jeszcze przyjdę, to ci dwie szóstki przyniosę. A mamuś twoja prędko wróci?

— Matka poszła na parcelę na Długosza ulice, bo tam ojciec pare kawałków zakopał.

— Aha, aby urosły, nieprawda?

— Ni, tylko aby chatrak ich nie zdzioczył (ajent ich nie złapał). Matka wykopie i sprzeda, to potem pójdemy pod Karpia na piwo.

Pożegnałem chłopca i poszedłem w stronę miasta. A gdym się oglądnął za nim, Antoś siedział rozparty na ławce, majdał w powietrzu nogami i kurzył jakiś niedopałek z cygara.

KRONIKA.

Kalendarzyk:

W środę rzym.-kat. Hugona — gr.-kat. Chryzanfta.

We czwartek rzym.-kat. Franciszka z P. — gr.-kat. Prep. Otec.

Repertuar teatru miejskiego (pod dyrekcyą Ludwika Hellera).

We środę „Mąż idealny“.

We czwartek „Hugenoci“.

W piątek „Mąż idealny“.

W sobotę popołudniu „Kościuszko pod Racławicami“.

W sobotę wieczorem „Faust“.

W niedzielę popołudniu „Poskromienie złośnicy“.

W niedzielę wieczorem „Czar walca“.

W poniedziałek „Mały Eyolf“.

MIEJSCOWA.

Porwany przez maszynę. Jana Danilewicza 16-letniego pomocnika maszynisty porwała wczoraj maszyna, która jednak na czas wstrzymano, tak, że Danilewicz odniósł tylko złamanie ręki i ciężką ranę w głowę. Pogotowie od-

wiozło chłopaka do szpitala, policya zaś wdrożyła śledztwo, kto ponosi winę wypadku.

Pogotowie ratunkowe ma codziennie wiele do roboty z różnymi awanturnikami, którzy „harą" zaleją sobie pałę, a następnie biją się jak apasze. Największe rany w tych bójkach odnieśli wczoraj trzej Stanisławowie: Stanisław Petrisch, Stanisław Reiner i Stanisław Mrozowski. Obok trójki zacnych Stanisławów stanął w godnym szeregu Dominik Kazłucki, lwowski Demostenes, wielki antysemita w gębie. Gdy wygłasza swoją mowę antysemicką, głos jego rozlega się po całym Rynku i budzi przekupki. Obecnie stacya zaszyła mu poharataną gębę, zaczem jest nadzieja, że umilknie on na czas jakiś.

Z wielkiej chmury mały deszcz. Przed niedawnym czasem zamieściliśmy obszerny artykuł jednego z bardzo poważnych obywateli naszego miasta, odnoszący się do sprawy rozszeżenia stacyi Podzamcze i przejazdu w ulicy Żółkiewskiej, a krytykujący równocześnie z wykazaniem błędów i niedomagań w przedstawionym projekcie kolejowym. I pokazało się jak dobre intencye ma władza państwowa dla miasta, skoro wszystkie zasadnicze żądania gminy zostały odrzucone. I jak na śmiech a na drwiny najpoważniejszych ludzi, zasiadających w komisyi reambulacyjnej uwzględniła ona tylko życzenia podrzędniejszej natury a między temi, że „kości z cmentarza Paparówki przy restauracyi gruntów przeniesione będą na inne miejsce kosztem kolejowego skarbu (!?)

Teraz miasto wnosi powtórny projekt o połowę niższy od ceny, bo obliczony na 600.000 kor., podczas gdy pierwotny wynosił 1,200.000 kor.

Zobaczymy, co teraz będzie?

W stan spoczynku jak donosi „Słowo Polskie" ma pójść wiceprezes wyższego sądu krajowego dr. Jan Dylewski po 40-letniej sądowniczej służbie.

Wiekopomną sławą zapisał się wczorajszy dzień na szpaltach kroniki naszego miasta. Oto po raz pierwszy w tym roku pokropione zostały pryncypalne ulice, na razie jednak tak skąpo, jakby to był cudowny jaki eliksir.

Prognoza pogody dla Galicyi (bardzo wygodna i nieomylna — według wiedeńskiej stacyi meteorologicznej): W Galicyi wschodniej stan ciepłoty niezmieniony, miejscami zimno, miejscami temperatura podnosi się. Pogoda lub deszcz, zależnie od kierunku wiatru.

Mianowanie. Cesarz nadał asesorowi sądu handlowego przy sądzie obwodowym w Przemyślu, Chaimowi Wolfowi, dożywotni tytuł radcy cesarskiego.

Uznanie. Cesarz zezwolił, aby radcy wyższego sądu krajowego, Aleksandrowi Stobieckiemu, przy sposobności przeniesienia go na własną prosbę w stały stan spoczynku, wyrażono za jego wieloletnią wierną i gorliwą służbę, najwyższe uznanie.

Z przygód Sherlock Holmesa Conan Doylego wyszły nakładem księgarni Maniszewskiego i Meinharta zeszyty 10 i 11-ty pod tytułem: niezmiernie ciekawa „Historya berylowego dyademu" oraz „Zniknięcie panny młodej".

Nasz reporter pisze:

Czy Szanowna Redakcya niewie, nad czem to tak zawzięcie radzili dyrektorowie naszych szkół średnich? Może nad zmianą mundurków i czapeczek? Bardzoby to była ważna i doniosła rzecz. Ja twierdzę stanowczo, że obecne mundurki są za mało w biodrach obcisłe i kołnierze za nizkie. Konieczną byłaby reforma tych kawałków, i wprowadzenie oprócz tego srebrnych, ewentualnie złotych lampasów u jedenostek, na sposób generalski. Trzeba bowiem, aby rangę studenta można było bez trudności odgadnąć z tyłu. Niechże się Szan. Redakcya i ankieta dyrektorów nad moim projektem się zastanowią. Wprawdzie już po ankiecie, ale to nic nie szkodzi. Lepiej później niż nigdy.

Donoszą dalej Szan. Redakcyi, że na Lwów, prosto jak pod sznur maszeruje przyboczna trupa teatralna Wilhelma II. i będzie tu pokazywać różne moltkenowsko-hardenowskie kawałki. W Przemyślu już ta trupa skończyła swoją misyę. Możeby mnie Szan. Redakcya wysłała w delegacyi naprzeciw?

Dyabelnie mi czasu brak. Właśnie odbywa się na polance pod Kopcem zebranie towarzyszy i towarzyszek w celu obmyślenia środków nad wyratowaniem całej „loży czerwonej" z nad przepaści i wybrania zawczasu odpowiednich, dobrze umocowanych drzew, na pewną, bardzo doniosłą i możliwie rychłą ewentualność. Szan. Redakcya zapewne domyśla się co to za ewentualność, więc nie ogłaszam jej publicznie, aż fakt stanie się faktem. Kto z czytelników ciekawy, niech zaczeka, a obaczy niebawem fiołkowy szereg, maszerujący stamtąd na niziny Lwowa czwórkami w paradnym ordynku.

Moja gospodyni wybiera się koniecznie na „Idealnego męża" do teatru, bo „Świat bez mężczyzn" już widziała i ciekawa jest, co to za idealny mąż przedstawi się publiczności w teatrze. Ona chce zrobić małe porównanie ze swoim mężem, który jest także „idealny" — pozwala jej na wychód na różne zgromadzenia sufrażystek i na zaciąganie kolosalnych długów u Güttlera za różne jedwabie, koronki i koroneczki. Jej to jest za mało. Ona uważa, że idealny mąż, to takie zwierzątko, które sobie da ciosać patyki na łbie i nawet przy tem nie stęka. Jestem ciekawy, jakie ona wrażenie odniesie.

Abstrahując od wszelkich „idealności" zapytuję Szan. Redakcyę, jak się zapatruje na kwestyę zbliżania się świąt wielkanocnych. Warto o tem pomyśleć zawczasu. Baby, jajka, kiełbasy, spirytualia różnorodne szczypią człeka za język i łechcą podniebienie. Tylko, że psia kula, jaśnie wielmożna pani Drożyzna siadła na gołej ziemi w rynku i trzyma za łeb wszystkie przekupki, a nawet posłała swoich gnoomów po sklepach po krwawy haracz. Towarzyszą tej pani wiernie „czerwoni towarzysze", którzy byliby bez drożyzny tem, czem myśliwy bez zwierzyny, policya bez złodziei, a Szan. Redakcya bez Breitera. Oni sami drożyznę wywołują, ażeby mieli o co krzyczeć. No i są tak durni ludzie, którzy im wierzą!

A propos, czy Szan. Redakcya słyszała coś o śrubie, która ciśnie niemiłosiernie lokatorów, konsumentów, etc., a w którą niektórzy głupcy zaglądają i w nią chuchają. Czy ona przypadkiem nie jest sporządzona z lanego żelaza?

Opłata od przedstawień teatralnych i widowisk przyniosła przez luty tylko i marzec 11.000 kor, który to dochód przeznaczony jest dla ubogich. Departament dobroczynności ma utworzyć z tego dochodu fundusz na wybudowanie przytuliska dla opuszczonych dzieci.

Tow. oficyantów i aspirantów pocztowych odbyło w sali wykładowej dyrekcyi poczt doroczne walne zgromadzenie. Na pierwszy plan wybiła się prowadzona wspólnie z centralnym związkiem oficyantów poczt. w Wiedniu akcya o uregulowanie stosunków służbowych w drodze ustawy o zamianowanie egzaminowanych oficyantów asystentami, zmiana lat służby na 35 i zmianę tytułu na adyunktów pocztowych. W dyskusyi nad sprawozdaniem wyłonił się projekt zawiązania krajowego stowarzyszenia oficyantów poczt., i przystąpienia do centralnego związku w Wiedniu.

Odznaczenie policyanta. Twardą i niebezpieczną jest służba policyanta a jednak ludzie ci nie spotykają się z uznaniem publicznem. Dopiero jakiś nadzwyczajny wypadek np. uratowanie życia ludzkiego, przynosi temu człowiekowi krzyż zasługi lub inne odznaczenie.

Onegdaj wręczono srebrny krzyż zasługi w obecności władz wojskowych plutonowemu policyi, Piotrowi Smykowi za uratowanie życia dwom osobom na rampie żółkiewskiej. Osoby te omal nie dostały się pod koła pociągu i tylko przytomność plutonowego wyrwała ich śmierci. Wręczenie krzyża zasługi odbyło się w koszarach policyjnych.

Rada miejska odbędzie zwykłe swe posiedzenie, pierwsze po wyborach jutro, 2. kwietnia.

Komisya budżetowa miejska po dłuższej przerwie wczoraj na nowo podjęła swoje obrady. W rozdziale: budżet miejskiego t r a m w a j u e l e k t r y c z n e g o uchwalono: rozchód w kwocie 1,917.986 kor., w tem 75.000 kor. na amortyzacyę sumy zakładowego kapitału. Przychody przyjęto w kwocie 1,193.124 kor., z nadwyżką 175.138. Wydatki gazowni miejskiej ustalono na 362.791 kor., dochody na 468.752 kor. Budżet tramwaju konnego zestawiono po raz ostatni, gdyż w przyszłym roku tramwaj konny już nie będzie istniał.

Wydatki jego uchwalono w sumie 419.000 kor., dochody 434.000 kor.

Następnie przyjęto zgodnie z preliminarzem fundacyę dla nieuleczalnych Bilińskich w sumie 39.599 kor., zaś fundacyę św. Łazarza, w kwocie 47.414 koron.

Pierwszy pokrywa swe rachunki z własnych dochodów, drugi wykazuje niedobór w kwocie 11.210 kor. Następne posiedzenie dzisiaj.

Miłe towarzystwo!

Dziś zgłosił się do naszej redakcyi p. Edmund Fuhrman i opowiedział nam następujący fakt:

„Mając pewne pretensye finansowe do ks. Gorazdowskiego, a spotkawszy go onegdaj w ul. Lindego, prosiłem, aby moją należytość wyrównał. Ks. Gorazdowski począł mi wobec tego prawić takie głupstwa, jakie przez usta kapłana nigdy przejść nie powinny. Wzburzony tem postępowaniem odpowiedziałem w podobny sposób, aż przyszło między nami do kłótni, która spowodowała olbrzymie zbiegowisko. Wtedy dopiero ks. Gorazdowski zmienił ton i prosił mnie, abym przyszedł do jego lokalu redakcyjnego na ul. Sienkiewicza, to tam pretensyę moją wyrówna.

Ów lokal redakcyjny z trudem odszukałem. Mieści się on w tak osławionym „Hotelu Polskim". Ks. Gorazdowskiego niebyło, a przyjął mnie jego zastępca Thumen i w imieniu księdza prałata namawiał, abym się kiedykolwiek rano zaczaił pod kamienicą ul. Hausnera 7, gdzie mieszka redaktor „Gońca" p. Tokarski, i wychodzącego z mieszkania zbił na kwaśne jabłko, poczem ks. Gorazdowski nietylko mój dług mi zapłaci, ale da osobno jeszcze 200 koron. Fakt ten podaję panom dlatego do wiadomości, abyście się mieli na baczności, bo jest on dowodem, że ks. Gorazdowski w walce z panami nie będzie przebierał w środkach.

Tak brzmi relacya p. Edmunda Fuhrmana, od dawna znanego nam osobiście i pod każdym względem zasługującego na wiarę człowieka.

Dodajemy zaś, że po ks. Gorazdowskim spodziewaliśmy się tej metody walki. W drukarni socyalistycznej drukuje on swój świstek, przejął się od dawna czerwoną etyką, i dziś stoi już zupełnie na równi z Hudecem, Breiterem i tym podobnym. Nauczył się kraść i oszukiwać, a teraz próbuje jeszcze rozboju.

O sprawie tej robimy doniesienie do policyi i prokuratoryi. Dość mamy wojny ze socyalistami, z hajdamakami i z Breiterem. Jeźli ksiądz jeszcze rozbijać i ludzi na nas podpłacać będzie, to mogłyby się wytworzyć warunki do pracy wprost niemożliwe.

Z miasta.

Na jednej z ławek pod Sobieskim na Wałach hetmańskich siedzą dwie „panie", głośno omawiając i komentując niedawno zaszłe pod Żorżem samobójstwo barona Ehrenburga.

Jedna z nich ciągle coś mówi, a druga znów przeczy.

Obie ubrane krzycząco, w kapeluszach jak wanny, wedle ostatniej mody już wiosennej (wszak tak ciepło na dworze), jedna w okularach na nosie, druga chustką wciąż oczy obciera, od czasu do czasu na przemiany pociągają nosem, rozmowa toczy się żywo.

Siedzę opodal i słucham:

— Najgorsze to, co kogo spotkać może — powiada pierwsza — to jest jeśli komu spadnie naprzykład dziecko z trzeciego piętra.

— Zawsze to lepiej — konstatuje druga — jeśli j e d n o dziecko spadnie z trzeciego piętra, aniżeli, żeby troje dzieci spadło z pierwszego piętra.

Po tych słowach z miną conajmniej Spinozy spogląda na towarzyszkę.

W chwilę później.

— Tak jest moja pani — powiada pierwsza — taka już jest natura ludzka; im więcej człowiek ma, tem więcej chce mieć.

— To nieprawda — zapewnia druga.

— Czemu nieprawda?

— A miała już pani kiedy bliźniaki?... *d.*

Samobójstwo w łazienkach. Wczoraj około godz. 8-mej wieczorem zastrzelił się w jednej z tutejszych łazienek urzędnik prywatny, żonaty, ojciec jednego dziecka. Denat zostawił kartkę, w której prosił, by zwłoki jego odstawiono do domu pogrzebowego Kurkowskiego przy ul. Kochanowskiego. Pozostawił też list do swego teścia i szereg listów do wszystkich redakcyi z prośbą, by nie podawały jego nazwiska ani powodów rozpaczliwego czynu.

Nominacye. „Wiener Ztg." ogłasza: Radca górniczy Antoni Müller w Wieliczce mianowany starszym radcą górniczym. Starszy zarządca górn. i hutn. Feliks Zaworski mianowany radcą górniczym, a zarządca górn. i hutn. Feliks Piestrak starszym zarządcą.

Minister oświaty posunął do VIII. klasy rangi profesorów państwowych szkół przemysłowych Alfreda Dauna w Krakowie i Piotra Harasimowicza we Lwowie.

Za chlebem do Francyi wyjechała wczoraj w południe partya robotników rolnych licząca około 570 osob. Partyę tę zorganizował poseł Skołyszewski przy pomocy okręgowego biura pracy w Krakowie, by odwrócić wychodźtwo na Saksy. Druga partya złożona z 400 robotników, wyjedzie około 15. bm.

Argentyński oszust Rosenberg aresztowany przed miesiącem we Lwowie który popełnił „złote" oszustwa na szkodę jubilerów w Buenos Ayres, paryskich i holenderskich przebywa jeszcze w areszcie śledczym, ponieważ rokowania między tutejszemi a amerykańskiemi władzami nie zostały ukończone.

Władze argentyńskie zażądały od poszkodowanych kaucyi 30.000 franków za koszta śledztwa, której dotychczas nie złożono. Pieniądze, jakie zakwestyonowano u Rosenberga, wysłano do Banku lipskiego, stąd do Banku zamorskiego, dotychczas jednak nie nadeszły stamtąd żadne wiadomości.

Stow. posłańców pocztowych obradowało w sali hotelu Stadtmüllera przy udziale 60 posłańców z całego kraju i w obecności przedstawiciela dyrekcyi sekretarza p. Lenartowicza. Najważniejszą pracą wydziału były starania w sprawie poprawy bytu.

Pocztmistrze, pobierający po 960 K rocznie na utrzymanie posłańca, płacą mu po 30, 40, 50, a najwyżej 60 K miesięcznie, i nie dają mundurów do czego są zobowiązani i t. p.

W rezultacie uchwaliło zgromadzenie domagać się spełnienia przedstawionych postulatów, a to przyjęcia na etat rządu — wypłaty wynagrodzenia z góry i podniesienia go do wysokości płac służby państwowej (woźnych i listonoszów, dostarczania odzieży służbowej przez rząd, założenia własnej Kasy chorych, pomnożenia własnej Kasy chorych, pomnożenia personalu służby odpowiednio do stosunków miejsco

wych, wliczenia lat służbowych przy spensyonowaniu odpowiednio do pobieranej płacy, zniżenie lat służbowych ze 40 na 35, zmiany tytułu posłańców pocztowych, dozwolenie urlopów w wypadkach choroby, jakoteż 14-to dniowego urlopu w roku, zmiany uniformu służbowego w szczególności czapek, zaprowadzenia awansu po wysłużeniu pewnej ilości lat, zastępstwa posłańców w funduszu prowizyjnym przez własnych delegatów. — Prezesem wybrany został p. Jakób Barban (Rohatyn).

Groźba strejku robotników masarskich. Przed kilku dniami odbyło się liczne zgromadzenie robotników masarskich w sprawie odpoczynku niedzielnego. Uchwalono rezolucyę, domagającą się wprowadzenia w życie spoczynku niedzielnego z dniem 1. kwietnia. Uchwalono również, że na wypadek, gdyby majstrowie masarscy nie uczynili zadość tej uchwale, to robotnicy masarscy są zdecydowani zaprzestać wszelkiej pracy aż do pomyślnego załatwienia ich żądania.

Ładnie byśmy wtedy wyglądali na święta wielkanocne, bez szynek, kiełbas i ozorów.

Z literatury.

Nakładem ruchliwej księgarni Maniszewskiego i Meinharta, ukazały się dwa dalsze tomiki nader ciekawych przygód Sherlock Holmesa a mianowicie tomik X. „Zniknięcie panny młodej“ i XI. „Historya berylowego dyademu“. Każdy oddzielny tomik kosztuje 40 halerzy.

Lwowska Rada szkolna okręgowa wydała z ogromną starannością „Dziesiąte sprawozdanie o stanie szkół ludowych miasta Lwowa za r. 1906/7. Książka formatu dużej ósemki obejmuje 272 stron i ozdobioną jest kilkoma rysunkami, dotyczącymi hygieny szkolnej. Zawarte w 40-tu rozdziałach różne daty statystyczne, dają wyczerpujący obraz szkolnictwa ludowego w stolicy kraju, obraz, który chlubą nas napełnia, że Lwów pod względem oświatowym staje w rzędzie najkulturniejszych miast Europy. Szkoda, że „sprawozdania“ niema w księgarniach do nabycia. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, aby zaznajomiła się z niem jak najszersza publiczność.

Korespondencye Redakcyi.

J e d e n w i m i e n i u w i e l u. Dziękujemy stokrotnie za uznanie i zachętę. — Rozumie się, że będziemy ostrożniejsi.

G i m n a z y u m I. w R z e s z o w i e. Niech wam Bóg zapłaci za wasze dobre serce, kochani chłopcy! Najwięcej podobało się nam w waszym liście, że jako młodzi i „do tego niepowołani“ wstrzymujecie się od sądu nad ks. G., a tylko nas prosicie, aby wytrwać przy haśle: Bóg i Ojczyzna. Z listu widać, że wyrośniecie na dzielnych i rozsądnych ludzi.

A n t o n i R., K. M. i J a n M a j e w s k i. Tak długie i serdeczne listy panów są dla nas wzruszającym dowodem waszej życzliwości i uznania. Panu K. M. specyalnie dziękujemy za dowcipny wierszyk „Mądry Polak po szkodzie“, ale trudno, abyśmy po tylu przejściach jeszcze samych siebie biczowali wierszową satyrą.

Z KRAJU.

Kradzież w urzędzie podatkowym. Żandarmerya brodzka aresztowała Jana Bardeckiego, herszta włamywaczy, którzy okradli urząd podatkowy w Olesku. Przy aresztowanym znaleziono wszystkie papiery wartościowe i gotówkę, skradzioną w tym urzędzie. O kradzieży tej swego czasu donosiliśmy.

Ładne odszkodowanie! Jak donosi „Kuryer stanisławowski“, milion koron wypłaciła dotąd stanisławowska kasa dyrekcyi kolejowej, rozmaitym osobom poszkodowanym na zdrowiu z powodu znanej katastrofy kolejowej pod Bukaczowcami. Kwota ta została wypłaconą w drodze ugodowej — drugi milion, a może i więcej będzie musiała kolej zapłacić poszkodowanym wskutek wytoczenia przez nich procesów.

Prawo publiczności. Minister oświaty nadał prywatnemu liceum żeńskiemu Maryi Hild w Przemyślu na rok 1907/8 prawo publiczności, odbywania egzaminu dojrzałości i wydawania świadectw, mających walor państwowy.

Samobójstwo. W Stanisławowie we czwartek 26. bm. odebrała sobie życie wystrzałem z rewolweru w prawe ucho, Balbina Krzepińska 51 lat licząca, wdowa po kapitanie i właścicielka realności. Powodem targnięcia się na życie, był rozstrój nerwowy denatki. Zmarła pozostawiła córkę wydaną za ruskiego księdza i pełnoletniego syna.

ZE ŚWIATA

Głupiego figla bolesne skutki. We Frankfurcie n. O. pewien inkasent bankowy, przechodząc koło handlu ze zwierzętami, podrażnił siedzącą w oknie małpę, która wskoczyła mu na głowę i w jednej chwili oskalpowała mu całą czaszkę, a nawet urwała lewe ucho.



Ze strzępami tych trofejów uciekła następnie do sklepu. Inkasent zemdlał z bólu i z upływu krwi, a choć życiu jego niegrozi niebezpieczeństwo, to jednak będzie miał pamiątkę na całe życie i już najgenialniejszy eliksir na porost włosów biedakowi temu więcej niepomoże.

Płucomierz. Lekarze angielscy celem zbadania, czy płuca u dzieci normalnie się rozwijają, wymyślili przyrząd zwany płucomierzem, który służy do oznaczenia siły wydechowej płuc. Przyrząd ten jest dość prostej konstrukcyi. Wdmuchiwane w niego powietrze podnosi do góry ramię wskazówki, a na umieszczonej odpowiednio przedziałce, lekarz odczytuje siłę, z jaką powietrze



wepchnięte zostało. Rozumie się, że odpowiednio do wieku i do fizycznego rozwoju chłopca, musi wskazówka pokazywać co najmniej oznaczoną przez lekarzy wysokość, w przeciwnym razie poddaje się dziecko ćwiczeniom (szwedzkiej gimnastyce i t. d.) które do rozwoju płuc pomagają. Metoda tego rodzaju kontroli zapomocą płucomierzy wydała dotychczas u dzieci znakomite rezultaty.

Pogwałcony samosąd. Korespondent „Słowa Polskiego“ donosi z Horodenki:

Naczelnik gminy Dąbki, Józef Piotrowski udał się wraz z podwójcim do jednego z sąsiadów na pogawędkę i poczęstunek. Za chwilę po przybyciu gości, tłum radykałów ruskich wtargnął do domu, związał obu przedstawicieli gminy i gospodynię domu rzekomo utrzymującą z naczelnikiem czulszy stosunek, przetrzymał ich związanych całą noc i rano przywiózł ich do starostwa w Horodence, żądając natychmiastowego złożenia z urzędu z powodu szerzenia zgorszenia. Na czele owych wiejskich purytanów stali dziwnym trafem ruscy prowodyrzy radykalni, a co dziwniejsze, że obaj oskarżeni głosowali przy wyborach na Polaka.

I to właściwy powód gwałtu publicznego, za który odpowiadać będzie 25 już aresztowanych.

TELEGRAMY.

Telegramy „Gońca“ z dnia wczorajszego.

Niebywały pożar.

S z a t m a r - N e m e t h y. We wsi Vanfalu powstał wielki pożar, który dopiero po 24 godzinach zdołano zlokalizować. Zgorzało 118 d o m ó w i zabudowań. Szkoda wynosi półtora miliona koron.

Panika na okręcie.

L o n d y n. Okropna panika wybuchła wczoraj na okręcie emigracyjnym „Leicester“, na którym znajdowało się 400 wychodźców z Austryi i Rosyi. Okręt ten zderzył się z parowcem „Smaraged“.

Pomiędzy pasażerami znajdowali się przeważnie wychodźcy, wracający ze Stanów Zjednoczonych do Europy. „Leicester“ został tylko nieznacznie uszkodzony. Pasażerowie wyszli bez szwanku.

Zamach na macochę szacha.

S t a m b u ł. Porta zawiadomiła dziś posła perskiego, że dwaj perscy anarchiści usiłowali wykonać zamach na macochę szacha, księżnę Ula, która bawi obecnie w Kerbela z pielgrzymką. Napastnicy strzelili do niej z okna pewnego domu, ale jej nie trafili. Napastników aresztowano.

Anarchiści w Nowym Yorku.

N o w y Y o r k. W uzupełnieniu wiadomości o zamachu Silbersteina na policyę nowojorską donoszą do „Berl. Tageblattu“, że sprawdzono już, iż zamachowiec nazywa się nie Silberstein, ale Kohn. Nie należał on do żadnej z amerykańskich grup anarchistycznych, a był rosyjskim terrorystą, który zajmował się w Nowym Yorku szerzeniem rewolucyjnej literatury i tworzeniem anarchistycznych organizacyj. Mnóstwo domniemanych jego spólników aresztowano. Znaleziono też przy Kohnie list, z którego wynika, że istniał spisek wymierzony przeciw amerykańskim miliarderom. Wymieniono w liście tym wyraźnie nazwiska Morgana, Goulda i Astora.

Walka Ormian z Turkami.

L o n d y n. Wedle doniesień z konsulatów mających siedzibę w Wan w Armenii, powstała tam krwawa walka pomiędzy rewolucyonistami ormiańskimi a Turkami. Ormianie ścigali szpiega tureckiego, a gdy, ścigany ukrył się w jednym z domów, Ormianie zaczęli ów dom ostrzeliwać. Tłum ludności tureckiej zgromadził się koło owego domu. Powstała krwawa walka między Turkami i Ormianami, aż wreszcie wojsko przywróciło spokój. Podczas walki poległo 30 osób. Wojsko uwięziło znaczną liczbę Ormian, a z przesłuchania ich miało się okazać, że istnieje udowodniony spisek ormiański, pod kierunkiem Roweba i Hajabiana, dragomana konsulatu rosyjskiego. Tureckie władze sądzą, że Ormian podburza Rosya.

Polują na króla.

L i z b o n a. Król Manuel podczas przechadzki swej po parku, zauważył, że żołnierz stojący na warcie, nie umie salutować. Zwrócił na to uwagę oficera, który stwierdził, że owym żołnierzem był przebrany za żołnierza anarchista, który wkradł się do parku w celu dokonania zamachu.

Telegramy „Gońca“ dzisiejsze.

Wybory w Krakowie.

K r a k ó w. Dziś rozpoczynają się wybory do Rady miasta Krakowa i potrwają w sześciu oddziałach przez tydzień. Dziś wybiera kurya wielkiego handlu.

Senator zabił murzyna.

L o n d y n. Telegrafują tu z Nowego Jorku, że onegdaj wieczorem członek senatu Hefin w tramwaju elektrycznym zastrzelił jadącego z nim równocześnie negra, który upity począł się z nim kłócić.

Zamach waryata na księdza.

T r y e s t. Wczoraj rano na 24 letniego katechetę ks. Martica z Capo d'Istria napadł w katedrze jakiś człowiek obłąkany i zranił go niebezpiecznie nożem, przyczem zawołał: „To zemsta za następcę tronu Rudolfa!“ Napastnika ujęto bez oporu.

Zaciekli mordercy.

W a r s z a w a. Trzech rewolucyonistów napadło na fotografa Gazolińskiego w jego pracowni i zranili go ciężko strzałami rewolwerowymi. Gazolińskiego przeniesiono do szpitala. Nad wieczorem ci sami bojowcy wtargnęli do sali szpitalnej i zastrzelili Gazolińskiego oraz bawiącą przy nim żonę.

Odroczona egzekucya.

B e r l i n. W październiku zeszłego roku sąd przysięgłych w Bonn skazał pięciu Chorwatów za morderstwo na śmierć. Jeden z nich powiesił się w celi, czterej pozostali mieli być wczoraj straceni, ale egzekucyę w ostatniej chwili odroczono, chociaż wszystko już było przygotowane, a to z powodu, że ksiądz chorwacki nie przybył. Wykonanie wyroku ma nastąpić we czwartek.

Afera hr. Zamojskiej.

W a r s z a w a. Śledztwo w sprawie wykradzionej wrzekomo z pociągu hr. Zamojskiej wykryło, że nie był to żaden napad, tylko symulacya ze strony hrabiny, a to celem zatuszowania awantury miłosnej, na której hrabina zbyt długo się zabawiła.

NADESŁANE.

Po pięćdziesiąt groszy za 1 wiersz petitowy.
Za rubrykę tę Redakcya nie bierze odpowiedzialności.

FR. COPÉE

Przed jarmarczną budą.

Była już pora wieczorowa.

Na placu jarmarcznym tłumy się snuły, i cisnęły się zachwycone przed budą zapaśników, gdzie kilka kopcących, czerwonych lampionów oświecało zaczynające się właśnie przedstawienie.

Przed płótnem, przedstawiającem bohaterskie czyny zapaśników, ustawili się rzędem czterech z nasrożonemi minami drągalów o potężnych muskułach, w brudnych trykotach, przystrojonych futrzanymi mankietami na rękach i nogach; stali oni ze spuszczonemi głowami, rozkraczonemi nogami, z rękoma skrzyżowanemi na piersiach.

Obok nich fechmistrz, niegdyś podoficer, z pijacko obwisłymi wąsami, przepasany pasem i z czerwonem ze sukna wykrojonem sercem, opierał się na parze floretów. Tancerka z kwiatem we włosach grała na cymbałach i wielkim kotle, okropny w swej harmonii akompaniament do polki, fałszowanej przez ślepego grajka na klarnecie. Dyrektor zaś całej tej trupy, istny herkules o twarzy zbrodniarza, w szkarłatnych spodniach, nawoływał przez tubę widzów, oblewając się z natężenia rumieńcem barw swoich spodni.

Zmieszany z gapiącym się tłumem, patrzyłem ze wstrętem na ohydne widowisko, ostatnie resztki klasycznych igrzysk olimpijskich.

Wtem ucichła muzyka i cała publiczność buchnęła głośnym śmiechem: przed budą ukazał się błazen. Ubrany był w zwyczajny kostyum błazeński, w krótki kaftan i kraciaste pończochy, w tyle głowy, na rudej peruce z rozstrzępionym warkoczem, siedział wielki, trójgraniasty kapelusz.

Był to człowiek zupełnie jeszcze młody, ale twarz jego, obsypana bielidłem, zdradzała zgniliznę moralną. Stanął przed tłumem i nic nie mówiąc, otworzył głupkowato usta, pokazując zakrwawione, bezzębne dziąsła.

W tej chwili dyrektor kopnąwszy go potężnie nogą, rzekł cicho: „zaczynaj“.

I zaczęła się stereotypowa rozmowa między szarlatańskim wyzyskiwaczem jarmarcznym, a jego błaznem, przeplatana gęstymi policzkami ze strony pryncypała. Publiczność ryczała ze śmiechu i uciechy, błazen zaś wysilał się na coraz to nowe żarty bezwstydne, czem niby oburzał swego pana i za karę brał nową dozę policzków. Umiał doskonale stosować się do okoliczności: wygiąć ciało w kłąbek pod kopnięciem nogi, otrzymawszy zaś policzek z prawej strony, wypełniał natychmiast twarz językiem, lamentując tak długo dopóki pod nowym razem sztuczna spuchlizna nie przeniosła się na lewą stronę twarzy.

Coraz to nowe ciosy padały gradem na niego, strząsając białą mąkę z twarzy i czerwony proszek z peruki, a pył ten unosząc się w górę, osłaniał błazna niby białoróżową chmurą.

Gdy wreszcie wyczerpał cały repertuar wstrętnych dowcipów, komedyanckich ruchów, głupowatych min i udawanych cierpień, dyrektor budy, w przekonaniu, że dosyć już użył sposobów na przyciągnięcie publiczności, odprawiał błazna ostatnimi jeszcze kułakami w głowę.

Odezwała się na nowo muzyka z taką wściekłością, że aż drgały płótna malowane. Błazen wziął teraz pałeczki od wiszącego na jednym ze słupów rusztowania, bębna i wraz z pięknem bombardowaniem kotła, grzmotem cymbałów, wyciem klarnetu, rozpoczął potworny koncert.

Dyrektor przez tubę rycząc, zapowiadał, że przedstawienie już się zaczyna. Na znak wyzwania rzucił zapaśnikom stare rękawice i w tejże chwili buda zapełniła się po brzegi rozbawionym tłumem, tak, że tylko garstka nieliczna została przed pustą estradą.

. . . .

Już miałem odejść, gdy wzrok mój padł na starą kobietę, która dziwnie uporczywie patrzyła na pustą estradę, oświeconą słabo czerwonemi latarniami. Po skromnem bardzo ubraniu poznałem, że należy do najbiedniejszych, mimo to — cała jej postać dziwną wyrażała powagę i prawość.

Zaintrygowała mię niezmiernie i zadając sobie pytanie, co może ją tak przykuwać do tego miejsca, zacząłem przypatrywać się jej uważniej i dostrzegłem, że ma oczy łez pełne, a ręce załamane rozpacznie.

Zbliżyłem się do niej, dziwną pociągniony sympatyą i spytałem co jej jest?

„Co mi jest, mój dobry panie? — rzekła staruszka łzami się zalewając.— Ot, przechodząc przypadkiem przez ten plac, przypadkiem, bo nie mnie do uciech i śmiechu, poznałam w tym nieszczęsnym, bitym po głowie i twarzy błaźnie, mojego syna, moje jedyne dziecko!... Bo widzi pan — to troska całego mego życia, — nie wiedziałam nic, co się z nim dzieje od tej chwili, kiedy mój nieboszczyk mąż oddał go do marynarki... Był najpierw u ślusarza, okradł swego majstra, on, przez uczciwych wychowany rodziców!.. Ja bym mu była przebaczyła, jak matka, ale mąż, gdy się o tem dowiedział, mało nie oszalał z rozpaczy... Umarł rychło, z pewnością ze zgryzoty.. Od tego czasu pięć lat minęło; nie widziałam ani razu swego dziecka, nie wiedziałam, gdzie się obraca, jak żyje... Myślałam, że może nędza go poprawi... Aż oto teraz tu w tej budzie...

Łkała biedna, stara matka, budząc litość dla swego bólu. Nie zważała na otaczającą ją gromadkę, mówiła sama do siebie głosem pełnym rozpaczy: On, mój Andrzej, moje dziecko, które wykarmiłam własnem mlekiem! On — błaznem w jarmarcznej budzie, bity i lżony przed ludźmi! On, ten sam, któregom uratowała, gdy cztery latka miał dopiero, tu u wykpigrosza na służbie! Takie śliczne było maleństwo, kiedy obnażone przewracało się na moich kolanach!...

. . . .

W tej chwili, spostrzegła się, że ją otoczono i słuchano. Dziwnym powiodła wzrokiem po słuchaczach, jakby ze snu nagle zbudzona; spojrzała na mnie, poznała i zbladła. Przez usta zaciśnięte wyjąkała: Co ja mówiłam? Puśćcie mnie!

Pod jej rozkazującym ruchem rozstąpiła się gromadka, a ona oddaliła się spiesznie, niknąc w ciemnościach.

*

Silne i niezapomniane uczyniła na mnie ta przygoda wrażenie. Od tego czasu, ilekroć mi się zdarzy ujrzeć jakąś nieszczęsną, upadłą istotę, czy też pijaka walającego się pod ławą szynkowni, przychodzą mi na myśl słowa:

I ten człowiek był niegdyś małem, niewinnem dzieckiem!...

Odpowiedzialny redaktor: Stanisław Brandowski. Wydawca: Stanisław Tokarski. Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Józefa Ziembińskiego.